

Testament poległych – antologia 2023

Jacek Kaczmarski

CZOŁG

Gąsienicami zagrzebany w piach nad Wisłą
Patrzę przez rzekę pustym peryskopem
Na miasto w walce, które jest tak blisko
Że Wisły nurt - frontowym staje się okopem
Rozgrzany pancierz pod wrześnieowym żarem
Rwie do ataku się i pali pod dotykiem,
Ale wystygły silnik śpi pod skrzepłym smarem
I od miesiąca nie siadł nikt - za celownikiem.
Krtąń lufy pusta łaknie znów pocisków smaku
A łyka tylko tłusty dym - z drugiego brzegu!
W słuchawkach zdjętych hełmofonów - krzyk Polaków
I nie wiem, czemu rzeki tej nie wziąłem - z biegu!
Dajcie mi wgrzyźć się gąsienicą w fale śliskie
I ogniem swoim dajcie wesprzeć barykady!
By miasto w walce - które tak jest bliskie
Bezruchu mego - nie nazwało mianem - zdrady!
Lecz milczy sztab i milczą pędy tataraku
Którymi mnie przed tymi, co czekają - skryto
Bo ruski tank - nie będzie walczył za Polaków!
Bo ruski tank - zaczekać ma, by ich wybito!
Gdy się wypali już powstanie ciemnym błyskiem
Włączą mi silnik i ożywią krew maszyny,
Bym mógł obejrzeć miasto - co tak bliskie –
Bez walki zdobywając gruzy i ruiny!

Wisława Szymborska

W BIAŁY DZIEŃ

Do pensjonatu w górach jeździłby,
na obiad do jadalni schodziłby,
na cztery świerki z gałęzi na gałąź,
nie otrząsając z nich świeżego śniegu,
zza stolika pod oknem patrzyłby.
Z bródką przyciętą w szpic,
łysawy, siwiejący, w okularach,
o pogrubiłych i znużonych rysach twarzy,
z brodawką na policzku i fałdzistym czołem,

jakby anielski marmur oblepiła glina -
a kiedy to się stało, sam nie wiedziałby,
bo przecież nie gwałtownie, ale pomalutku
zwyżkuje cena za to, że się nie umarło wcześniej,
i również on tę cenę płaciłby.

O chrząstce ucha, ledwie draśniętej pociskiem
- gdy głowa uchyliła się w ostatniej chwili -
"cholerne miałem szczęście" mawiałby.

Czekając, aż podadzą rosół z makaronem,
dziennik z bieżącą datą czytałby,
wielkie tytuły, ogłoszenia drobne,
albo bębnił palcami po białym obrusie,
a miałby już od dawna używane dłonie
o spierzchłej skórze i wypukłych żyłach.

Czasami ktoś od progu wołałby:

"Panie Baczyński, telefon do pana" -
i nic dziwnego w tym nie byłoby,
że to on i że wstaje, obciążając sweter
i bez pośpiechu rusza w stronę drzwi.

Rozmów na widok ten nie przerywano by,
w pół gestu i w pół tchu nie zastygano by,
bo zwykle to zdarzenie - a szkoda, a szkoda -
jako zwykle zdarzenie traktowano by.

Ernest Bryl

SIERPIEŃ

Warszawo moja, wpół miejska, wpół wsiowa,
Pełna nas, cośmy hurmem z prowincji zjechali,
Cośmy się niby przez gruz przegryzali.

Warszawo moja - bezkształtna, surowa
Ani taka, ni siaka. Ciężka jak zakalec,
Miasto, gdzie się dzielnica z dzielnicą rozmija,

Jak dwa okręty nie wiedzące wcale,
Że płyną obok siebie po morzu okrutnym,
Które usypia czasem, a czasem zabija ...
o miasto, moje miasto z twoim świętem smutnym,
Kiedy to w wielkiej ciszy się uczymy,
Jak się jednoczysz z nami, jak nas zespalasz
Twardziej niżli na kamień ...
Kiedy to patrzymy,
Jako się pierwsza świeczka w Powązkach zapala,
A potem światło za światłem liczymy
Powoli, dokumentnie - żeby się naumieć,
Jak żyć w tym mieście rosnącym na trumnie.

Czesław Miłosz

BALLADA

Jerzemu Andrzejewskiemu

Na równinie stoi szare drzewo.
Pod nim siedzi matka w małym cieniu.
Obłuskuje jajko na twardo
I popija herbatę z butelki.
Miasto widzi którego nie było,
Błyszczą mury i wieże w południe,
Na gołębie kołujące stadem
Patrzy matka a wraca z cmentarza.
– Zapomnieli synku przyjaciele.
Nikt z kolegów ciebie nie wspomina.
Narzeczona dzieci urodziła
I o tobie nie pomyśli w nocy.
Zbudowali w Warszawie pomniki

A na żadnym twojego imienia.
Tylko matka, póki jest, pamięta
Jaki śmieszny byłeś i dziecinny
Leży Gajcy przysypany ziemią
Już na wieki dwudziestodwuletni.
Nie ma oczu ni rąk ani serca,
Nie zna lata ni zimy ni wiosny.
A co roku huczą w rzekach lody,
W ciemnym lesie zawilec rozkwita.
Czeremchami napełniają dzbanki,
Nasłuchują, co kukułka wróży.
Leży Gajcy, nigdy się nie dowie
Że warszawska bitwa zeszła na nic.
Barykadę na której umierał
Rozebrały popękane ręce.
Biegły wiatry, niosły pył czerwony,
Spadły deszcze i słowik zaśpiewał.
Pod obłokiem krzyczeli murarze,
Podciągali w górę nowe domy.
– Mówią synku, że wstydzić się trzeba,
Że niedobrej broniłeś ty sprawy.
A ja nie wiem, niechaj Bóg osądzi
Kiedy z tobą rozmawiać nie mogę.
Pokruszone twoje kwiaty w pyle,
To ta susza, wybacz mój jedyny,
Czasu mało a jeżeli przyjdę
Z tak daleka muszę nosić wodę.
Matka chustkę pod drzewem poprawia.
Świeci skrzydło gołębia na niebie.

Zamyśliła się, zapatrzyła się,
Przestwór taki wysoki, wysoki.
I tramwaik pędzi w stronę miasta,
A tam dwoje młodych za nim goni.
Zdążą, myśli matka, czy nie zdążą?
Dogonili. Wsiedli na przystanku

KAWIARNIA

Z tego stolika w kawiarni,
Gdzie w zimowe południa błyszczał ogród szronu,
Zostałem ja sam.
Mógłbym tam wejść, gdybym chciał,
I bębniąc palcami w zimnej pustce
Przywoływać cienie.
Z niedowierzaniem dotykam zimnego marmuru,
Z niedowierzaniem dotykam własnej ręki:
To — jest i ja jestem w dziejących się dziejach,
A oni są zamknięci już na wieki wieków
W ostatnim swoim słowie, w ostatnim spojrzeniu.
I dalecy jak cesarz Walentynian,
Jak wodzowie Massagetów, o których nie wie się nic —
Choć upłynął zaledwie rok, dwa albo trzy lata.
Mogę być jeszcze drwalem w lasach dalekiej północy,
Mogę przemawiać z trybuny albo nakręcić film
Sposobami, na których oni się nie znali.
Mogę doświadczyć smaku owoców z wysp oceanu
I mieć swoją fotografię w stroju z drugiej połowy stulecia.
A oni już na zawsze jak popiersia w żabotach i frakach
Z monstrualnego Larousse'a.
Ale czasami, kiedy wieczorna zorza barwi dachy ubogiej ulicy
I zapatrzę się w niebo — widzę tam, w obłokach,

Zataczający się stolik. Kelner wiruje z tacą,
A oni patrzą na mnie wybuchając śmiechem.
Bo jeszcze nie wiem, jak się ginie z okrutnej ręki człowieka.
Oni wiedzą, oni dobrze wiedzą.

Warszawa, 1944

W Warszawie

Co czynisz na gruzach katedry
Świętego Jana, poeto,
W ten ciepły, wiosenny dzień?

Co myślisz tutaj, gdzie wiatr
Od Wisły wiejąc rozwiewa
Czerwony pył rumowiska?

Przysięgałeś, że nigdy nie będziesz
Płaczką żalobną.
Przysięgałeś, że nigdy nie dotkniesz
Ran wielkich swego narodu,
Aby nie zmienić ich w świętość,
Przeklętą świętość, co ściga
Przez dalsze wieki potomnych.

Ale ten płacz Antygony,
Co szuka swojego brata,
To jest zaiste nad miarę
Wytrzymałości. A serce
To kamień, w którym jak owad
Zamknięta jest ciemna miłość
Najniezwyklejszej ziemi.

Nie chciałem kochać tak,
Nie było to moim zamiarem.
Nie chciałem litować się tak,
Nie było to moim zamiarem.
Moje pióro jest lżejsze
Niż pióro kolibra. To brzemię
Nie jest na moje siły.
Jakże mam mieszkać w tym kraju,

Gdzie noga potraça o kości
Nie pogrzebane najbliższych?
Słyszę głosy, widzę uśmiechy. Nie mogę
Nic napisać, bo pięć rąk
Chwyta mi moje pióro
I każe pisać ich dzieje,
Dzieje ich życia i śmierci.

Czyż na to jestem stworzony,
By zostać płaczką żalobną?
Ja chcę opiewać festyny,
Radosne gaje, do których
Wprowadzał mnie Szekspir. Zostawcie
Poetom chwilę radości,
Bo zginie wasz świat.

Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu
I dwa powtarzać wyrazy
Zwrócone do was, umarli,
Do was, których udziałem
Miało być wesele
Czynów myśli i ciała, pieśni, uczt.
Dwa ocalone wyrazy:
Prawda i sprawiedliwość.

Odbicia

Mrówka zdeptana a nad nią obłoki.
Zdeptana mrówka a nad nią kolumna błękitu.
A w dali znaczy niebieskie swe kroki
Wisła czy Dniepr na łożu z granitu.
Taki obraz odbija się w wodzie:
Miasto zburzone a nad nim obłoki.
Zburzone miasto a nad nim kolumna błękitu.
A w dali mija niebieskie swe progi
Dziejów ostatek, albo wiosna mitu.
Mysz polna martwa i żuki-grabarze
Na ścieżce, którą biegnie radość siedmioletnia.
W ogrodzie tęcza piłki, roześmiane twarze
I żółty pada blask maja albo kwietnia.
Taki obraz odbija się w wodzie:
Plemię pobite, pancerni grabarze,
Drogami biegnie radość tysiącletnia.
Pole bławatków kwitnie po pożarze
I cisza jest niebieska, powszednia.
Taki obraz odbija się w wodzie.

Traktat poetycki (fragment)

Dwudziestoletni poeci Warszawy

Dwudziestoletni poeci Warszawy
Nie chcieli wiedzieć, że Coś w tym stuleciu
Myślom ulega, nie Dawidom z procą.
Byli jak człowiek na szpitalnej sali,
Który śmiech dzieci i zabawy ptaków
Stara się pojąć raz tylko, ostatni,
Zanim nie zamkną się kamienne wrota,
I na przymierza z jutrem obojętny
Dba tylko o to, jak być wiernym chwili.
Nie ozdabiały starej barykady
Zorze ludzkości, wieszczów obietnice.
Zraniona mieczem stała Matka Boska
Nad żółtym polem i wiankiem poległych.

W zdumieniu młodzi rano dotykali
Stołu i krzesła, jakby w deszcz ulewny
Znaleźli cały, okrągły dmuchawiec.
Przedmioty dla nich łamały się w tęczę,
Mgliste jak lata wcześniej pożegnane.
Zapowiedź sławy, pokoju, mądrości
Własną litanią musieli odtrącić.
Ich wiersze były modlitwą o męstwo:
„Z życia, jak z miasta, kiedy nas wysiedlą,
Domie nasz złoty, w pościel z malachitu
Na jedną tylko noc nas wieczną przyjm”.
I żaden grecki antyczny bohater
Do bitwy nie szedł tak zbyty nadziei,
Z wyobrażeniem swojej białej czaszki
Kopniętej butem obcego przechodnia.

Kopernik, posąg Niemca czy Polaka?
Składając przed nim kwiaty padł Bojarski.
Czysta, bez celu, winna być ofiara.
Trzebiński, nowy jakiś polski Nietzsche,
Nim umarł, usta miał zagipsowane,
Mur i powolne chmury zapamiętał
Sekundę patrząc czarnymi oczyma.
Baczyński stuknął czołem o karabin.
Dalej gołębie płoszyło Powstanie.
Gajcy, Stroiński, byli podniesieni
W czerwone niebo na tarczy eksplozji.
Na gęsich piórach maczanych w inkauscie
Jeszcze pod lipą światło dzienne drżało.
W księgach to samo rządziło prawidło
Poczęte z wiary, ze piękność widzialna
Jest małym lustrem dla piękności bytu.

Tadeusz Gajcy

EPITAFIUM

Przechodniu, powiedz
a poznamy miejsce
marzenia, które niesie
bezpiecznie i lekko.
Nad nami niebo rośnie
i wspina się w dymie
pozostawiona dalekość.

Były lata nad nami i są.
Ty zabierzesz nieświadomą stopą
pręcik ziemi otulony mgłą,
co nazywa się dla ust tak prosto,
a jest głosem, co zaciska krtań
i wołaniem z samotnego dna.

Nie zapomnisz, bo woda oparzy
wargi pyszne, i zadusi kłos.
Kraj ten mamy w oczach jak ołtarzyk
z gajem dymów świecących jak kość.
Twarz ukryjesz. Biodra matki suche
nie wydadzą ziarna, gdyby po nas
wawrzyn zostać miał mały jak uśmiech
i jak dłoń albo serce — historia.
Taka miłość. Jak kamień przygniata
ręce nasze przebite na przestrzał
ułożone miłośnie na kwiatach
i żelazie bogatym jak wieńcach.
Nie zapomnisz, bo miłość ta
da ci oczy niezwykle i zmarszczkę,
i zobaczysz się, wolny, pod kaskiem
z bronią naszą w tych spokojnych snach.

Ukochanej

Gdzie zgięty domem grajek smyczkiem
spod palców wartkich toczy ziemię
i niebo wielkie, nas malutkich,
uliczne drzewo szumi zwięźle.
jesteśmy tutaj wychyleni
za każde słowo. Dłoń się zdarła
już od głaskania szorstkich trumien
i w oczach krzyż pozostał niemy.
I tak prowadzi nas już do snu,
i tak nas uczy umierania

piosnka, co sływa po piorunie.

Nie zatrzymasz, nie usiłuj nawet.
Będzie toczył nas grajek czy kosmos;
dłoń za mała i serce za małe -
jedna miłość przytuli miłością.
Nam już dzisiaj ani łza, ni żal,
tylko rękę milczącą uczyć
jeszcze tkliwiej osypywać piach,
jeszcze mocniej nad krzyżami nucić;
nam już tylko milcząco rosnać
i pod iskrą śmiertelną stać,
gdy zawodzi, gdy tuli nas do snu
niebem grzmiącym i ziemią gorzką
wychylony w przerażenie świat.

Tą uliczką przywaloną głosem
smutnych skrzypiec i tramwaju dzwonkiem
nie powróci do nas prężna wiosna,
a z nią uśmiech i słowo miłosne.

Stać będziemy pod ulicznym drzewem,
kiedy salwa znajoma nam porwie
pamięć dobrą o pogodnym niebie,
w którym nikły się jąkał skowronek.

Nam już teraz pod tym szumem zostać,
słów nie szukać, wargę mocno zaciąć
i nas człowiek pożegna z miłością,
jak witamy się co dzień z rozpaczą.

Wczorajszemu

Ufałeś: na niebo jak na strunę miękko złożysz dłoń,
muzykę podasz ustom, utoczysz dotknięciem,
łukiem wiersza wysokie księżycowe tło
wprowadzisz w bezmiar dolin -
Modlitwę nocnych cieni rozwieszisz jak wiewiórkę
na słodkich oczach dziewann i szumach topolich.

Ufałeś: trzepot ptaków rozsiejesz ziarnisty,
rozległą piersią ujmiesz horyzonty, w których świat
pływa mały jak z dzieciństwa okręcik.

Klechda z omszałych lat
- świty w klechdzie powiewały krwawe -
do snu kołysała dzieci.

Taką klechdą przełamał się dzień

walczącej Warszawy.

Wtedy -

rozwiódł się nad miastem ornamenty łun
na złotych kolcach wieżyc i bełkocie Wisły,
muzyka - lecz nie nieba - krążyła jak sen,
dziś wiesz:
to skowyt strzałów na brukach się wił,
otaczał, chodził wokół jak zbłąkany zwierz.

A tobie - dni wczorajsze w oczach nie ostygły,
ufałeś...

Księżyc sierpem zmrużone rzęsy kosił,
wśród krzyży zwijał światła purpurową nitkę;
żołnierze nieśli drżące, spokorniałe oczy
na sfruwającą powietrzem białą Nike.

Falował spokój w ciepłej darni,
kiedy młodzi plecami wsparci o wieczność
odchodzili w głębokie posłania.
Więc nakryły ich obłoki podobne kulistym mleczom
i wiatr, któremuś wierzył - składał pocałunki umarłym.

Nie wiedziałeś, że dłoń, którą uczyłeś śpiewać,
potrafi nienawidzić i pięścią grubieć pełną,
gniewu unosić żagiew -
Ufałeś. Nie ukoił twoich ust śpiew drzewa
i oczu blask nie zajął pod kopułą hełmu,
i serca nie nasycił krzyk wbity na bagnet.

Dzień rozbrój z woni siana. Sandały zielone
niech zostawi przed progiem, na którym go czekasz -
odejmij pustkę oczom, gdy w smutku zatoną,
i nie daj mówić wiatrom o liliowych zmierzchach.
Bo kłamią. Bo śpiewają gorejącą lawą,
że znowu dłoń na niebo jak na strunę złożysz,
muzykę podasz ustom -

Dzisiaj -

w piaskach cmentarzy
powiędły echa strzałów,
wiruje błękit niski jak wczoraj łaskawy,
jak lustro.

Każ trawie, by milczała. Jej śpiew cię zadławi,
spowije wata wzruszeń i ciśnię w niepamięć.
Nim ockniesz, się już serce zagubisz w obrazie
I dłonie w przerażeniu milcząco załamiesz.

Dzisiaj

inaczej ziemię witać!

Wierzyłeś: słowiczym pieniem wierszy popłynie sława harda
i wszędzie w barwnych tęczach, obudzi się w mitach.

Nie tak.

Nazbyt duszno jest słowom na wargach
ciosanym z łun i żalu o wadze kamienia -

Myślałeś: będzie prościej.

A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zamieniać,
by godziły jak oszczep.

Piosenka o przemijaniu

Ponad nocą, którą kochasz,
czas przechodzi gwiazdy mącąc,
a zbłąkana ręka w książkach
jak maleńki leży kosmos.

I cierpliwa fala oczu
drży w czekaniu niepojętym
na powrotny dzień i słońce
jak dziecinny śpiew kolędy.

W nocy tej lub innej nocy
powiesz wiekom bohaterskim
o twym buncie i miłości
pod drobniutkim dachem pięści;
i niedbały cień jak bronę
włącząc z sobą - staniesz wreszcie
nad swym sercem jak poranek,
nad swym ciałem jak gałęzią.

Stąd wołanie pójdzie rześkie
i potoczy się perlisty
piorun ziemski na królestwo
dłoni twoich jak na szyby,
tam toczący pług pod górą
drzew bławatnych - człowiek wstęgą
widnokregu idąc - pióro
znajdzie twe i powie: wielkość.

Zdzisław Stroiński

Życie

Tylko przed świtem widać było, jak deszcz gwał wierzby i łązy nad wodą spłoszoną skrzydłem wracającej sowy.

Ale to już dawno, gdy ziemia wyrzuciła z siebie krzyk i płomień, który zburzył domy i chorągwie.

Pamiętasz, poległy przyjacielu? - krzyk i płomień gasł w dłoniach rozwartych - nocą wznosiły się strzały ostatnie jak srebrne bańki powietrza z ust tonących. Niebo płynęło wtedy głębokie i spokojne, a gotyckie źdźbła trawy pochylały się blisko, coraz bliżej, już w oczach.

I umrzeć było tak łatwo - tylko dniem w dym i słońce się pochylić, tylko nocą gwiazdy coraz chłodniejsze dłonią z czoła odgarnąć.

Domy pękły i posypały się w gruzy popielate i pomarańczowe - sprzątnięto je - na tym miejscu w skleconych naprędce sklepikach prążkowany grzebień szczyrzy zęby w krzywym uśmiechu i świeci łysy pagórek cebuli. Pod murem rząd koszów z chlebem i bułkami.

Idą ludzie ulicą, na której kamień i asfalt już tylko.

Więc umierać jest trudno. - Tam gdzie rozebrano barykady, wyrósł las pomidorów i poranny krok robotników grzechocze po wymytych mgłą płytach, i ostry głos trąbki samochodowej strzela z pędzącej na obławę kolumny.

Z amarantowych płatów druku, niespokojnych jak chorągiew, znów krzyk i cisza ścieka na ulicę, na której kamień i asfalt już tylko. - Więc umierać jest trudno. Bo pod wysokim sklepieniem salwy życie jest proste jak śmierć.

Przyjacielu, padając pod łuk salwy - uważaj, nie uderz głową o kosz z chlebem.

POD NIEBEM

Pod niebem przechylonym jak okręt tonący stoją kamienie

i żelazo pogiete w kształt na wpół ludzki.

I wycinek trawy jesiennej rzadkiej i zrudziałej, pod którą kości

poległych rysują deseń cieniutki jak kwiaty mrozu na szybach.

Tu mały konik o wyleniałej grzywie i wystających, za dużych

oczach ciągnie wóz z sianem o zapachu zachodzącego słońca.

Prosta nuta pociągu spływającego po moście z bierwion poczerńiałych

i szmer salwy podobnej westchnieniu idzie przez równinę porośniętą deszczem jak sitowiem.

I to, i pamięć niejasna dymu i sosen nad uśmiechem, i cisza po

tych, co zginęli, jest ojczyzną, którą niesiemy na wpół senni pod niebem przechylonym.

I nie ma w nas nic prócz nocy, w której cień skrzydła obrysowany przerażeniem,

i prócz nienawiści wpiętej u ramion niewidocznie -

czasem tylko błyskającej na wytartym, lśniącym kancie hełmu lub oczu,

lub metalowego guzika.

To pod każdą płytą i kamieniem ciemnieje twarz przyjaciela lub ojca
o ustach otwartych boleśnie jak u ryby uduszonej.

Więc drżący jest horyzont i ręka śmiesznie w pustkę wyciągnięta.

W niewielkiej kałuży przeglądają się ubłocone buty i twarz przecięta skurczem
bezradności.

Krzywonogie dziecko przebiegło w kulejących podskokach i bryznęło błotem.

Dalej dwóch pijanych chłopców w wytartych baranich czapach zatacza się
bełkocąc

między jednym a drugim napadem czkawki - Jeszcze Polska.

Zaczyna się ściemniać, zamykają sklepy, ale jeszcze widać, jak za rogiem
jaskrawo kwitnie

prerażający sen o rozstrzelanej siostrze i trzech morzach szumiących

WARSZAWA

Podczas budowania barykad Wisła pełna odbić lasów, ptaków i białych dróg
wysadzanych topolami podniosła się - z początku jak mgła - potem jak sztywna
okładka książki. W jej cieniu świtanie wychodzą stróże wielkimi,
postrzępionymi miotłami zamiatać płacz, który zebrał się przez noc i zalega
ulice grubą warstwą. Już i przekupki poszerzone do granicy blasku
słonecznego zachwalają kartofle wyrosłe na grobach. A na horyzoncie ulicy
poprzez huk granatów leżących w załomach bruku już od miesiący przesuwają
się dusza miasta. Odbicie jej twarzy za trudnej do zrozumienia zostało na
wykrzywionych twarzach ruin jak na chuście świętej Weroniki. A ci, co
przyjdą kiedyś-kiedyś i będą chcieli je odczytać wodząc sinymi od chłodu
rękami po rysach naciągniętych jak struny i nieuważnymi palcami będą
potrącać jęk zaschłych w szczelinach - wybuchną modlitwą czy
przekleństwem.

- Ojczyzna zbiegła się tu z wyrąbywanych lasów i wsi zmienionych w wycie
psa. Trwa

wzniesiona na szepcie broni maszynowej. To tyle krwi i patosu trzeba było
czekać, by z ciszy

zburzonych pomników zbudować takie sklepienie nad miastem jazzu i śmierci.
Teraz lemury

z gotyckich świątyń obsiadły dachy tramwajów i straszą urzędników
ubezpieczalni

wracających do domu. Pod płytami trotuarów snują się umarli i tętnią w
puklerze dające głuchy odgłos, a wieczorem w szpalerach szeptów chodzą pod
rękę z żywymi i poznać ich można tylko po skrzydłach zręcznie złożonych,
które im jednak odstają na plecach jak garby. Ale za dnia huczą olbrzymie
kamienne kołowroty i jedynie koło południa, gdy ludziska zasiądą do obiadu i
robi się trochę ciszej - słycać wyraźniej ciężki miarowy stuk podkutych butów
Boga.

Krzysztof Kamil Baczyński

RODZICOM

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało — to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co matko taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co — takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: — on uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
— mówiłaś — rozkwitaj ogniem znaczeń.

Ojcze na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
— Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką.

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dzieciństwo jak płomieni dom.
Zanim dwadzieścia lat minie
umrze mu życie w złoceniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna

za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże prosta,
gdy serce niezdarne — proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko — już nie wiem czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.
Miłość — coś zrodzi — nienawiść, struny łez.
Ojcze, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno — walczę, wiary więdną.
Ojcze — jak tobie — prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc — matko, ojciec — jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb ja żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej — to od was mam: — śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

POLEGLYM

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.
I żyła śmierci bije: na marne - drży - na marne,
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni; "Leć!"

I każą mi: "Zapomnij!" Więc ręce ciężkie włożyć
w ciężarny ołów gliny i pracy toczyć głaz,
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,
a w szyby śniegu bicz: "Na marne - drży - na marne !"
I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: "Zapomnij!"
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...
ulice moich dróg są wszystkie w górę - strome,
i cienka struga krwi jak lont się spala - do mnie.

Żelazna miłość - tak - wybuchło, zgasło, starło,
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.
Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,
żeby mi pisklę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,
choć rano - ktoś się potknie o mój dymiący grób.

6.01.1944

UDERZ

Oddycha miasto ciemne długimi wiekami,
spowiada miasto ciemne dawnych grobów żalność;
rozrąbane żelazem, utulone snami,
nie nasycone płaczem, nie spełnione chwałą.

Nie wierz, jeżeli ci się ulice pogłębią
i staną się jak otchłań, w której śmierć się przyśni,
powierz swą myśl mieniącym się nad nią gołębiom
i obłokom kwitnącym jak gałęzie wiśni,
i chmurom, które zawsze te same, tam, w górze,
jak oblicze tęsknoty wykutej w marmurze.

Nie wierz nawet pragnieniom, jeśli cię zawiodą
nad brzeg spalonych domów i każą ci skoczyć
przez wytłuczone okno do czarnych ogrodów,
ażeby na zhańbione prochy - zamknąć oczy.

Ale uwierz tym głazom, co z kamieni bruku
jak psy zdeptane wyją i krwią ludu chluszczą,
i rwą się nie pomszczone, i o bramy tłuką.
O! niech ci one będą jako słowa ustom,
niech ci wydrapią czułość z wzroku i krew z rany,
abyś kochając wielu, sam był pokochany.

O pij, pij te ciemności z zawalonych ruder,
przyjmij w siebie to miasto gromów, które biją,
tych Kilińskich, Okrzejów, jak oskardy trudu,
i kiedy runą w bruki - niech w tobie ożyją.

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.
O! chwycić za miecz historii i uderz! i uderz!

luty 43r.

Tadeusz Borowski

UMARLI POECI

Umarli, spaleni, rozstrzelani,
dla was piszę, koledzy młodości.
Oto ciągnie nurt ziemi nad wami
i szumi - szumem roślin.
To milczenie, bezruch i pustka,
wirry ziemi, zastygłe na pół -
gdzież jest ból, żeby martwym ustom
słów nie zabrakło?
Oto w górze, wysoko na pniach
z was wyrosłych szumią noce i burze,
ustom, ziemią porośłym i wapnem,
słów szukać próżno - -
Już za późno, za późno uwięzionym
[rękom
łamać się w nocach, w burzach
[nieucichłych.
Próżno żywych wołacie jękiem,
rozpaczą wichru.
Próżno, próżno. Wichry się kłębi~,
wabi trawiasta głąb, pachną podziemne
[łaki,
dalej trzeba, pod ziemię, głębiej i głębiej,
aż do was wstąpię.
Już za późno, za późno. Umilknę,
miniony, zapomniany. W martwych
[oczach
chwieją się drzewa, leśne, śpiewne wilgi,

ośleple nurty ziemi toczą się, toczą-
Zaplątani w kłacza paproci, . . .
w korzenie brzoź, w kłęby dzikich malm,
płyniemy, umilkli, dokąd i po co?
dalej, dalej - -

Wojciech Bąk

WARSZAWA O ZACHODZIE

Myślałem: miasto ruin. I ruiny są
I przychodzę przez gruzy ze zgrozy poblady
I wiem: te zgliszcza święte są męczeńską krwią
W mieście, gdzie tylko mury - lecz nie dusze padły.

W Starym Mieście jak ciężko stopom deptać gruz,
Uświęcony cierpieniem i wiejący sławą!
Wiatr, który w oczy wieje zażawione kurz,
Sypie się w me źrenice bolesną Warszawą.. .

... Tutaj stos bomb na domy z mściwym rykiem
spadł

Tu płomień szarpał żywe ciało miasta w złości ...
I czuję każdą ranę, każdej bitwy ślad -
A to są wielkie rany, rozdarte do kości.

Patrzyłem w te płomienie, słyszałem ten huk,
Widziałem chmury dymu z domów wypalonych ...
I znam ten krwią zalany, udręczony bruk-
I wiem - to wielkie rany - to głębokie rany...

... Ale krew jest zwycięska! Słyszę bliski szum -
To Warszawa żyjąca tłumami wyrasta ...
Są groźne rany ruin, lecz ten głośny tłum -
To zdrowa krew gojąca bolesnego miasta.

Jakby gruzów nie było - wkoło krzyk i śmiech.
Jakby nędzy nie było - ten tłum jest zwycięski -
Toczy się ulicami miasta żywa krew!
Niepamiętna pożarów, obozów i klęski!

Ja znam tę krew radosną - znam jej nagły rytm.
I słyszę - to ta sama krew niezapomniana -
Niezmieniona klęskami i ciosami bitw-
Zalewa groźne gruzy Warszawy rozśmiana.

Warszawa wiecznych nadziei. wiecznych dumnych
snów.

Stolica w Polskę sławą wparta z lwim uporem -
I słyszę w kroku tłumów głuchy pomruk lwów
I oddechem lwim Wisła oddycha wieczorem ..

Nad miastem rudy zachód wszystkie blaski dnia
Skupił. w niebo płomieniem wysoko rozlany ..
... A ja nie widzę blasku, ale grzywę lwa -
To Warszawa lwia blaskiem ponad Polską trwa
I płonącym językiem liże ruin rany!

Autor pseudonim „Boruta”

MAŁY JĘDREK STOI NA PRZEDPOLU....

i pruje ze szmajsera. Na próżno Andrzej Morro krzyczy, by się wycofał razem z kapitanem. Teraz nie mogą tego zrobić, gdyż są odcięci ogniem przez Niemców, którzy zajęli część frontowego budynku. Niemcy znów rzucają granaty. Są zaledwie o parę metrów ode mnie. Dużo nerwów kosztuje taka walka, kiedy nieprzyjaciel jest o kilka metrów, Lepiej by już było dopuścić do starcia wręcz, Na pewno pokazalibyśmy wtedy Niemcom, co potrafimy. Tymczasem w dalszym ciągu zalewają nas lawiną ognia, a my siedzimy, czekamy i giniemy. Strzelanina trwa już blisko godzinę, a może i więcej. Sytuacja nie ulega zmianie po tym, jak Niemcom udało się dostać do frontowego budynku i umocnić się na gruzach zdobytego kościoła. Z budynku słychać kroki, krzyki, nawoływania. Wszystko wskazuje, że chcą stamtąd uderzyć, jeszcze raz okrążają nas z czterech stron ścianami ognia, Dolatuje nas złowrogi szcęk broni, jaki słyszeliśmy często na ulicach miasta. Teraz jest zupełnie taki sam. Te same głosy, ten sam krzyk, ten sam mundur, A może i ci sami Niemcy , którzy jeszcze przed miesiącem rozstrzeliwali bezbronnych ... Po chwili nabieramy pewności, że szykują się do natarcia: trzeci raz w ciągu trzech godzin. Niemcy próbują - widocznie w myśl zasady "do trzech razy sztuka" - szczęścia. Za chwilę lawina ognia znów wali się na nas. Chłopcy z zaciśniętymi zębami trzymają peemy w dłoniach. Niemcy ruszają do szturm z krzykiem, lecz ogień naszych peemów nie pozwala im posunąć się ani kroku do przodu. Bez przerwy walą nasze erkaemy. Niemcy w odpowiedzi próbują zasypać nas deszczem granatów. Niemieckie erkaemy walą teraz po zajętych przez nas oknach. Odpowiadamy seriami na serie,

Po godzinie bezskutecznych zmagañ Niemcy wycofują się na swe pozycje wyjściowe, zostawiają kilku zabitych na przedpolu. Zrezygnowali już chyba na dzisiaj z dalszych prób. Bezskutecznie walczyli z nami przez cztery godziny. Są wściekli. Dobrze słychać ich podniesione głosy. Chłopcy rozprostowują się,

zmęczeni czterogodzinnym huraganem ognia. Oczy zwracają się na przedpole ... Tam gdzie poległa dzisiaj większość plutonu. Tylko niedobitki bronią jeszcze ruin tego budynku. Reszta na przedpolu i na Koźlej w szpitalu. Zmierch ogarnia podwórze. Tylko czasami padnie jeszcze granat, rozszcze się krótką, urywaną serią erkaem. Przedpole ogarnia martwa cisza. Nie słyhać już żadnych głosów, nikogo nie widać. Pod murem rozwalonej kotłowni leży Mały Jędrek. Jego pierś przeszytą serią erkaemu pokrył ogromny skrzep krwi. Zwisa bezwładnie skrwawiona ręka. Nie zdążył napisać na murach kotłowni:
PRZECHODNIU, IDŹ, POWIEDZ WARSZAWIE ...

Roman Bratny

DRAMAT W KOŃSKIEJ ŻRENICY

(Rzecz dzieje się na Starym Mieście w 1944 roku)

To wszystko chwilę widać
[na bohaterskiej arenie
żrenicy upadłego w wybuchu rumaka,
którego sam dorożkarz nawet nie
[opłakał,
bo nie wie nic - na barykadzie - przy [cekaemie.
To wszystko widać:
Matka Boska ze ścian kościółka, który
[naprzeciw żrenicy leży
- choć taką małą widać, że samiutka
[siebie
uniosłaby na rękach zamiast swego
[synka.
I dom widać tak mały, że całkiem
[zmieściłby się sobie
przez okno, przez wybitą szybę jedną
- dom jest mniejszy niż piórko na
[wróblim ogonie,

który mignął nad końskiej źrenicy
[areną.
Teraz wróbel odleciał, a Marię zastąpił
[brutalnie
- zajął jej miejsce w źrenicy -
[z automatem- żołnierz biegnący (pamiętasz wojsko
[ołowiane?),
maleńki i schyłony. O Mario!-
[upadnie!!
Upadł! Już Maria puste po nim wyciąga
[ramiona
i widać poległego pięść większą niż
[dom
- to już będzie - nie wyrwie ręki
[żołnierz, łbem nie rzuci koń,
na trwałe hełm zmieniła Marii aureola.
W kącie źrenicy końskiej zieje ogień
- przy samej pięści zabitego na linii
łuna leży malutka - to kwiat georginii
- to tutaj opadały wiszące ogrody
(skrzynki z okien u pięter)
- ten koń się pewnie schylił, by
[uszczknąć zieleni, i wtedy granat trafił i stąd na arenie
kwiat u poległego zaciśniętej pięści.
Do stóp Marii niosą ciężki karabin
[maszynowy - i już bije jak wściekły!
widać malutkich, zrywają się! -
[biegną,
rosną! Co to?! Raptem ciemność.
- Padł tuż przed końskim łbem
[dorożkarz niepodległy.

Kolumbowie rocznik 20 (fragm.I)

- Zeszliśmy do piwnic... Oni wzięli ulicę równocześnie z obu stron. Nie było gdzie uciekać. Jedna pani wzięła święty posążek z podwórza. Bombardowanie przeszło. I wtenczas poszłam po te rzeczy do mieszkania .

- Kobieta szeptała urywane zdania, chociaż obaj młodzi, niosący jej rzeczy, i dziewczyna, która prowadzi małego, zdają się jej nie słuchać.

- Stamtąd widziałam. Otwarł im bramę dozorca. Zastrzelili. Widziałam z okna. Kazali wychodzić z piwnicy.

-Zbiegłam po schodach. Tam leżał zabity mecenas. A na podwórzu ...

To byli Ukraińcy. SS. Mecenasa zabili kolbami. Na podwórzu wszyscy z rękami do góry. Miałam dzieciaka na rękach. Musiałam pilnować, żeby on trzymał do góry.

Wtedy wybrali młodych mężczyzn, pod drugą ścianę, wszystkich.

Z maszynowego karabinu. Kilka kobiet zabrali. Jedna skoczyła z okna. Drugie piętro. Żyła.

Postawiłam go na ziemi i sama podniosłam ręce. Zobaczyli obrączkę.

Ta pani, co zniosła figurkę do piwnicy, modliła się do samego postumentu, żeby oficer przyszedł. Że jak przyjdzie oficer, to uratuje. Wezmą do niewoli. I przyszło dwóch. Rzeczywiście, jak zobaczyli trupy, to jeden skoczył i uderzył tego Ukraińca w twarz, podoficera. Zaczął krzyczeć.

Oburzony, pokazywał na tych zabitych. Kiedy nam się kazali ustawić w dwuszerę, ta pani od posążka, która klęczała przed postumentem, pocałowała go w rękę, tego oficera. Ale nas nie zdążyli wyprowadzić, bo znów uderzyło nasze wojsko. Oni uciekli, a brat mecenasa przetłumaczył, co oni mówili do Ukraińców. Oficer groził im za lenistwo, a potem za tchórzostwo, że wolą nas zabijać, chociaż mają rozkaz prowadzić nas na linię. Że skąd oni mają potem brać ludzi przed czołgi ...

Kobieta siedzi teraz na swoich tobołach w pierwszej bramie domu za rogiem ulicy.

- Do tego miejsca pan podchorąży kazał - mruczy, jakby się tłumaczył, jeden z bliźniaków i zwraca się do Ałły szeptem, jakby planował dezercję:

- A u was, no tam, skąd przyleciałaś, nie ma więcej broni, co? Żeby dali?

Bo tu nie zabili jeszcze żadnego - mówi z żalem w głosie - a po dobru to głupiego granatu nawet nie dadzą - wzdycha. Ale Ałła przypomniała sobie, że musi wracać.

"Może Kolumb już się zdecydował, o rety! - biegnie prędko z powrotem.

- Co za ludzie przed czołgi? Po co?" - wraca myśl do tamtej opowieści. Jest już przy barykadzie.

Kolumbowie rocznik 20 (fragm.II)

Około pierwszej następowała w powstaniu na Mokotowie "przerwa obiadowa". Widocznie zdrożeni artylerzyści i ludzie z obsługi miotaczy min, zwanych tutaj "krowami", zwracali się o tej porze w stronę połowych kuchni. Musieli mieć zdrowy apetyt i respektować podstawowe zasady higieny, gdyż nigdy przed upływem półtorej godziny nie wracali do niewdzięcznego żołnierskiego zajęcia. Pacjenci przynoszeni o tej porze do szpitala mieli z reguły postrzały czyste - kulowe: gęsto rozsiani gołębiarze nie rezygnowali z roboty, żmudnie i systematycznie polowali na ludzi, śmieiej przebiegających ulice w porze artyleryjskiej pauzy. Mokotów był dla Niemców dzielnicą mieszkaniową, mieli więc dużo takich niewielkich punktów ogniowych, rozrzuconych nawet wewnątrz zajętego przez powstańców obszaru. Potężne niemieckie bastiony licznych tu koszar, posterunków policji i poczt, niepokojone przez szturmujące oddziały tylko w pierwszym dniu powstania, teraz milczały pogardliwie. Chłopcy, którzy za pomocą paru "siódemek" i "filipinek" próbowali skruszyć mury bunkrów, rozkładali się spokojnie w rozpalonym sierpniowym słońcu. Flagi, zmęczone ulewą pierwszej nocy powstania, zwisały znudzone. Nikt nie słuchał opowieści uciekinierów z Ochoty, nikt nie umierał z głodu - dzielnica willowych ogródków, działek, gęsto rozsianych drobnych, dobrze przez badylarzy zaopatrzonych sklepów nie głoduje. Walczyć nie ma czym. Czeka. Pierwsza noc sierpnia, gdy wsłuchiowano się w grzmot broni, o której nie wiedzano, że to tylko niemiecka, dawno minęła.

Dzielnica nie czeka na zwycięstwo swojego wojska, biwakującego po bramach i mieszkaniach. Dzielnica czeka na świat. W pierwsze dni pozbawiona prasy, żyje komunikatami radia. Potem dostaje gazety: na murach i do ręki. Prędko się tym męczy. Teraz tęskni do konkretnego. A tego brak. Radość oglądania zajętych przy uprzążaniu gruzów kilkunastu jeńców wyczerpała się łatwo: gruzów jest coraz więcej, jeńców nie przybywa. "Przerwa obiadowa." Ci, których plany prowadziły blisko - na sąsiednią ulicę - z miejsca ruszali w obranym kierunku. Inni, zamierzający dalszą podróż, musieli już wcześniej stać w ogromnej kolejce ... po przepustki. Nie zaangażowana w walkę energia dowództwa wojskowego dzielnicy otaczała ludność barykadami idiotycznych zarządzeń: godzina policyjna, zakaz palenia w piecach, by nie prowokować uwagi nudzących się na niebie samolotów...

Miron Białoszewski

Pamiętnik z powstania warszawskiego (fragm.)

Każdy coś bierze. Ruszamy całą kupą. Są i Ad.-mscy. Lusią z panią Rymińską i Marczykiem. Pożegnania. Przykre. Z ciocią Zosią. Świtało. I właśnie o to chodziło, żeby wyjść, zanim zacznie się dzień. A jednak coś się zabałagało. Czy za długo coś się pakowało, czy tamci wcześniej zaczęli. Bo już był obstrzał. U samego wyjścia był jeszcze krótki namysł, czy przeczekać chwilę. Ale większość chyba pokrzykiwała, że nie ma co. Bo z każdą chwilą będzie gorzej. Zresztą zaczęli niektórzy już wylatywać, jednocześnie zaczęły walić pociski, i od razu zaczął się bałagan. Na Rybakach było już widno. Kilka postaci leciało zgiętych pod tobołami. J a miałem na plecach pełno sucharów w kocu. Szliśmy do tej bramy Dominikanów z monstrancją, żeby klasztornymi ogrodami dostać się po skarpie na górę, bo Rybaki 23 były już zawałone. Po chwili ciszy zaczęło znów walić. Popłoch. Pan Ad. z podwiniętymi spodniami leciał na samym przedzie z teczką. Pani Róża Ad. z Basią na ręku leciała za nim i wołała, żeby poczekał, ale znów wałnął pocisk i pan Ad. zwiększył trucht. Wobec tego pani Róża z Basią wróciła się. Za panem Ad. leciała teraz Lusią z Marczykiem, też coraz szybciej. Jej matka (pani Rymińska) chciała za nimi nadążyć, ale nie mogła. Już wymijali ją Ciotka Uff. ze Zbyszkiem. Pani Rymińska wołała:

- Poczekaj ... poczekaj ...

Minęła ją reszta naszych, a ona wciąż wołała: -Poczekaj!

Zrobiło mi się głupio i wróciłem się. Tych ileś kroków. Zacząłem ją podprowadzać. Pod rękę. Bo pełno było pod nogami gruzów. I się potykała. Jak szliśmy za wolno, a tamci za prędko, to najpierw podciągałem ją. Żeby szybciej. Potem podlatywałem do tamtych. Żeby wolniej. Ale był już obstrzał. Rozhukał się. Na dobre. I niewiele pomagało wołać. Więc znów wracałem po panią Rymińską. I znów wylatywałem. Żeby zachować niby jakąś łączność. Pan Ad. był coraz dalej. I wyżej. Na skarpie. Leciał po tych gruzach. Spodnie zawinięte. Potem po tej trawie, Z cegłami. Z tynkiem. Kurczył się. I leciał. Kiedy tak naprawdę dokładnie wróciła się Róża z Basią na ręku - nie mogę już ustalić. Odwracałem się, oglądałem. Podlatywałem. Nawoływałem. Widocznie ten instynkt stadny (we mnie). Poza tym - ja latałem w ogóle. Dużo. Po ulicach. A oni nie. I oni się bali. Bo nie przywykli. Do tych pocisków i kulek. A to naprawdę sprawa przyzwyczajenia. Więc Róża z Basią odpadły. A cała

reszta - coraz bardziej chyba rozciągnięta - szła - już za tą - bramą z monstrancją, ogrodami klasztorными, coraz wyżej, ukosem. Po trawie. Ziemi. Kawalkiem czegoś. Czasem drzewo. To dobrze. Na oko. Jako osłonka. Bo szliśmy na Nowe Miasto. I było coraz gorzej. Im więcej na prawo. I im wyżej. Szli jeszcze jacyś inni ludzie. Dużo. Zresztą szli z góry na dół też. Mijali nas. Szła jeszcze z nami ta gruba Kobita. Z Towarowej. Co spała na tych drzwiach od ubikacji. Coś miała przywiązane do pleców. Pod szyję. Chyba. Bo szła od niesienia czegoś schylona. Zaczęło hukać i od Żerania. Od tamtych. Zza Wisły. Front. I to hukanie narastało. I to niemieckie też. I kulki. Koło nas. Coraz gęściej. Czyli chyba w nas (miały być). Robiło się gorąco. Biło w oczy. Bo już to słońce. Pani Rymińska jakoś weszła w tempo. Nie wiem, ile czasu szliśmy. Pod górę. Ukosem. Zaczęliśmy się drapać pod Sakramentki. Znaczy: pod Benona-Bieńkowskiego. Który był już w gruzach też, ale jakoś jeszcze niby stał. Ale byliśmy dopiero pod nim. Już nad Rybakami, nad kamienicą numer 23 w gruzach hen w dole. Ale do Benona jeszcze było wysoko. Wleźliśmy na najgorszy obszar. Najtrudniejszy do iścia. Spadzisty. I najwięcej obstrzeliwany. Łapaliśmy się chyba za gałęzie, za trawy, żeby zrobić krok wyżej. I wyżej. Za byle co. Bo kulki wiu! i wiu! W te gałęzie. W te trawki. W nas jakoś nie. Ale to nie było takie pewne. Gałązki i trawki były szare. I tryskały co i raz kulkami. Pociski też. No i ten front. Grzmot za grzmotem.

Autor nieznany

1 WRZEŚNIA 1944 R.

Jeszcze się palą zgliszczą serc po tamtym wrześniu
I tamta broń, na placach, nie ostygła z cierpień -
a już nową spluskany krwią, ogniem i pieśnią,
jak głośna salwa w pustce, przekłócił się sierpień.
Znowu oczy ku niebu wysyłam na połów,
by dobrą wieść wypatrzeć poprzez wrogi łańcuch
by skrzydła halifaksów, jak skrzydła aniołów,
przyniosły pokój ludziom trwającym na szanćcach.

- Bracie daleki! Obróć oczy w naszą stronę.
Świt na świecie. Tu noc jest. Tu ciemno od dymów
i jak pochodnia w pustce moje miasto, płonie,
dobrze widziane z Moskwy, z New Yorku, z Londynu
- Bravo! - krzyczy świat. Słyszać serc dalekich łomot.
Już załamują ręce, że nam jest tak ciężko.
Tu - oczy oczom, usta ustom niosą pomoc,
dają siłę wytrwania i wiarę w zwycięstwo.

*Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Demokrata", nr185(308) z 2 września 1944 r.,
podpisany inicjałami "A. P. ". Tekst publikowany w antologii Poezja Polski Walczącej
1939-1945, W-wa 1974.*

Janusz Sas

POWRÓT MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

Na sierpniowe święto Maryi

Czekaliśmy na Ciebie, Ty dostojna Pani
W koronie Królowo Polski zamknięta.
Dziś wróc do ram złotych, jak my co zesłani
Wracamy w męce do Wolności święta.

Płaszcz się dziś jarzy łez i krwi purpurą.
Z barykad walki niosąc śmierć powiewu.
Polska cię odzyska pod warszawską chmurą
Dymu pełna żaru i wolności śpiewu.

Idące dni szału płyną chwałą Twojej dumy.
A wiara w Ciebie, siły w nas nadludzkie wpoila!
Z Tobą Polska idzie ... Z stali strzałów struny
Dźwięk się leje Mocy - którąś narodziła!

Od Częstochowy murów historii dnie znaczone.
Upadków i wzlotów płyną symfoniczne grania,
Przechodzą cienie, czoła krwią zroszone
Umarłe niemoce i dnie walk Powstania.

A w mgłach pyłu szumie, w łunach poświęcie
W strzelistych gejzerach pożaru,
Kuznia Polski - gorzeje - rzekłaś: Ją utworzyć macie
I my już wpływamy w Jej wody bezmiaru ...

Jutro jak Nadzieja - poranek jest ciszą-
Pragniemy utulić bolejące dziś serca.
Pragniemy i Tobie serdeczna Maryjo
Przed ołtarzem usłać złotą toń kobierca.

Jutro jest nasze, - w wizji jego stoisz
Opromieniona natchnieniem żołnierskiej piosenki.
Klasztor Ci drugi na męce zbudujemy:
Z łez dzieci Warszawy dla świętej Panienki".

Czekaliśmy na Ciebie i dziś przysłaś z rana
Aniołom śmierci wzywając do mistrza. -
W godzinę śmierci, - o Niepokalana
Módl się za nami Matko Najczystsza ...

*Wiersz napisany w czasie Powstania. Opublikowany w tomiku poetyckim
Powstanie Warszawskie, Rzym 1946 r.*

Juliusz Krzyżewski

* * *

Nie wiem. Pamiętać nie chcę ...
Niech Bóg, przeklęty przez nas
milion razy i na świadectwo wzywany,
błogosławiony szeptem,
odwróci od nas swoje rany:
My będziemy świadectwem!
My - aniołowie boleści,
my - bogowie aniołów,
zbawiający i grzeszni,
popioły ...

Precz z mistyczną kabałą!
Duch ujęty jest w ciało
jak cięciwa w łuk giętki,
a pieśń ducha jak strzała
drży napięta i prędką.

My już bogom dorośli
i praw ludzkich niepomini,
nad poziomem nicości
ogromni!...

Przeogromni przemocą,
żądzą, bólem i gniewem,
i mądrością, co oczy
wypełniła po brzegi.

Nam już tylko zniszczenie:
- śmierć zwierzęca i boska ...
- Boże, odwróć i przemień.
Pozostań! ..

Międzylesie 29 XII 1942

POCIESZENIE

Że jest w nas jeszcze siła i ten duch szlachetny,
jak żagiel nad tonącym wznoszący się statkiem,
zanim widnokraj niski maszt ostatni przetnie,
a pierś zduszona kawy odmętem się zatchnie,

że z wiarą tak cudowną, jak dziecięcy uśmiech,
przez kraj przelata anioł na skrzydłach męczeńskich,
że lud warszawski milczy i żalem poruszony
serce tylko zaciska kamienne i pięści,

że z okien ostrobramskich, ku nam obrócona,
przez dymy pogorzeliś spogląda Madonna,
że krzyże na mogiłach żołnierskich graniczne
pług obcy porozrzucił i miecz obcy wyciął,

że z Pustyni Libijskiej przez italskie skały

ścieżka biegnie, na której ptaki nasze swojskie
przelatując siadały nieraz i poznały
z piosenki w zamyszeniu ciągnącej za wojskiem,

i że ja, gdy mi smutek z pióra łzę wytrąci
nad listem do mej córki, której los mi umknął,
piszę, że nie zapomnę, że kocham gorąco,
a ten ślad na papierze - to ślad pocałunku

- więc, że aż tyle tylko zostało nam własnych
nadziei i odwagi i ten strzép niebiosów,
to niech nikt się nie cofa w głąb zwątpienia ciasną,
bo nie ma, kto by wiarą swą nie przeniósł losu.

Międzylesie 26 II 1944

Wacław Bojarski

PANIE, COŚ PRZELAŁ KREW ...

Panie, coś przelał krew za sprawiedliwość,
Ty, któryś prawdę głosił nam na jawie,
Błogosław prawdzie naszej sprawiedliwej.
Błogosław naszej najślusniejszej sprawie.
Niech zawsze czuwa Twoja ręka Boska
Nad myślą, która nam wydaje rozkaz.
Nad każdym krokiem żołnierza
I jego celnym pociskiem
Odwracaj, Panie, od niego
Niebezpieczeństwa wszystkie.

Spraw, by nie poszedł czyn dumny na marne.
By jak najdłużej biły serca lwie.
Ty, któryś morze uśmierzył złe,
Nie daj zwyciężyć podłości,
Która jest większa niż morze - bezbrzeżna ...
Spraw, wielki Boże, niech nasz sztandar święty,
Niezwyciężony, niezmięty, klęski i teraz nie zna,
Niechaj zwycięski zawsze pozostanie
Spraw, Boże Archanielski,
Spraw, Wiekuisty Panie.

HYMN

Ty, coś mi w płucach kwiat tytoniu zasiał,
że rośnie i świeci moim trudnym snom,
Czy wiesz?
Ziemia spalona ma gorzki zapach,
Rzeki wiosenne wciąż płyną
Obłoków surowych
Kra.

Oczy moje,
Zatopione w cieniach liliowych,
Jak na mapie
Śledzą drogę Twoją w supłach żył.
Czy wiesz?
Usta muszę zaciskać surowe,
Kiedy krzywda małych i prostych
W oktawach płaczu nad miastem drży.

Gdy przechodzę po twardych brukach,
Jak przez życie
Na ukos
I odciskam twarde ślady stóp;
Tam, gdzie tylko troska i kamień -
Troskę stopom odejmij,
Bruki w chleby słów
Zamień.

Może wołam na próżno i - po co?
Może tylko mową Twoją przywalony,
Jak w topieli
Słów wychlusty rękami rozgarniam
Coraz trudniej i bardziej obco?

Czy wiesz?
Żeby ból mój w krzyk jeszcze nie stwardniał,
Tak po prostu ku śmierci otwarty
Wiatr młodości
Łapczywymi połykam ustami.
Ja to wiem,
Ja jeden, bo któż by?
Jak to jest, gdy się twarzą od snów kolczastych zmiętą
Wyrwane nagle z dłoni rozłożonych muszli -
Cudzych twarzy zmęczenie potwierdza,
Własnym pięściom nie zmęczonym zaprzecza.
W pięściach jest tęsknota nie spełnionych spraw,
W twarzy smutek źle spełnionych rzeczy,

I tak idąc coraz głębiej w miasto,
I tak w siebie idę coraz głębiej,
Mijam troskę, złe sny, bruki, nędzę własną,
Krzywdę ludzi, rzeczy, gołębi.
Patrzę w twarz gniewowi Twojemu,
Który spokój nam jesienny rozciął.
I tak idę
Własną małością zrozpaczony,
A po bokach żarliwą kołyszę nadzieję
Rzeźbioną w twardych kształtach zaciśniętych palców.

Zanim przyjdiesz nad ranem
Wybujaję od blasku kwiaty tytoniu zbierać,
Żeby już tak boleśnie nie kwitły, bo po cóż?
Ty, co umiesz
Ku śmierci łatwiej otwierać -
Ku Wielkości trudnej mnie otwórz.

POKÓJ DO WYNAJĘCIA

Na ulicy Nieznanej Tęsknoty pod numerem niewymiernym stoi
dom moich marzeń, mój własny dom. Wielki, kolorowy dom. Budowany w stylu Słowa Prawdy.
Po ceglach przeżywanych dni sływa, sływa ciężki trud długiej pracy. Bardzo długo
rozbudowywałem mój mały dom wielkich marzeń. Krwawiłem ręce mozolnym trudem, drzałem
opętany strachem, żeby nie spaść z rusztowania. A przecież rusztowania powiązane często
słabymi bezdusznymi myślami chwiały się na wietrze, oj chwiały. Kto policzy godziny męki
serdecznej, niemego wyczekiwania na samotność! Wytrwałem!
Hej, ginie wysoko w chmurach kolorowy dom moich marzeń.
Dziwny dom. Na parterze o wysokich oknach mieszka mój najważniejszy lokator.
Wysokie okna są zasłonięte gęstymi storami. Nigdy nie widziałem twarzy mego najważniejszego lokatora.
Wy, małoduszni i ślepi, mówicie, że go tam nie ma. NIEPRAWDA! On jest, na pewno jest.
Ja wierzę, nieudolnie, ale gorąco wierzę, że on tam jest.
On - mój najważniejszy lokator o twarzy najpiękniejszego smutku.
Przybite na drzwiach - zamiast tabliczki z nazwiskiem - serce wskazuje, że tam mieszka ON - BÓG.
Moja Ojczyzna ma pokój z balkonem od podwórka. Nie chciała mieszkać od frontu, bo nachodzili
ją natrętni jazgotliwi akwizytorzy, którzy chcieli uzyskać jej podpis na swoich tandetnych towarach,
których hasła wykrzykiwali na rogach każdej ulicy - wycierali nimi zakurzony bruk.
Mówili, że moja Ojczyzna mieszka także w ich zimnych ozdobionych szyldami domach, ale to nieprawda.
Moja Ojczyzna ich nienawidzi, zamyka przed nimi drzwi, ale oni wtargną do niej wszędzie.
Ukradną jej imię i poniosą na swoim transparencie.
O, straszna to będzie chwila! gdy Ojczyzna moja zbuntuje się ognistym czerwonym buntem przeciw zgrai
tandeciarzy.
Ale moja Ojczyzna czeka. Nauczyli ją cierpieć po cichu ci, co ją przez wiek trzymali w łańcuchach.
Wysoko w małej izdebce na poddaszu mieszka moja dziewczyna. Na oknie jej pokoju stoją
rzędem moje słowa zamienione w pelargonie. Moja dziewczyna kocha małe dwuwiersze
doniczek z kiełkującymi słowami.
Za to ja kocham Ciebie, Dziewczyno moja. Nie gniewaj się, jeżeli spóźnię się do Ciebie
wieczorem. Mieszkasz na poddaszu, a po drodze mam tyle pięt, tylu lokatorów. I Boga, i
Ojczyznę, i Pracę.
Wznosił się granitową radością dom moich kolorowych marzeń coraz większy, coraz wspanialszy.
Aż ustała nagle praca. Wywiesiłem na bramie małą tabliczkę: "pokój do wynajęcia".
Coś się rzuca czasem do mózgu rozchlustaną oszalałą myślą, coś ustaje czasem równie nagłą
świdrującą pustką ciszy. Oto jeszcze do wczoraj w prawym skrzydle mego domu nad
izdebkami, w których mieszkały moje wiersze, mieszkał SPOKÓJ. Wczoraj wyprowadził się.
Któż zamieszka w pustym, strasznie pustym pokoju - w kolorowym domu moich marzeń, który
ma od dzisiaj jedno ciemne, ślepe okno.

ZIELONY POMNIK

Przechodziłem Krakowskim Przedmieściem niedbale i potocznie
koło zburzonego pomnika Wdzięczności -

- jakim trudem wznieść mi to uczucie proste a pomnikowe
przecież -

- żeby zapęłnić ten brak kamienny w powietrzu potocznym i niedbałym?

Chyba tylko powietrza tego do płuc nabrać - z wdzięczności, że przecież mimo wszystko -
jestem.

I teraz patrzę:

Na trawnikach wynajęci starszycy ziemię kamyczastą i szklastą malutkimi łopatkami ciapią.

Niezdarni i mrużący cichutko tajemnicze dziaduniowe piosneczki.

Tak się nam ziemia śpiewnie i powoli napoczyna.

Jak to tak można? Jak można?

Ponad nimi przecież rosną drzewa i słupy tramwajowe - wysokie.

Megafony na drzewach i słupach krzyczą wojnę.

Wojną rozchwiane gną się i szumią drzewa.

Teraz karabin maszynowy nienawistnie koszący liście z drzew pamiętam.

Teraz -

- liście chmurami czerwonej żółtości od drzew jesiennych odpadają

- jak słowa kłamliwe.

To było. A choć jest już przedwiośnie,

Suchymi konarami w górze klekocze wojna.

Jak to tak można? Jak można?

Ależ na to, żeby w tej chwili pochyłać się tak nad ziemią ledwie napoczętą i posłusznymi grabkami grudki koloru
ciemnoblond głaskać

- i tak prosić:

- no, rośnij, rośnijże, soczysta! -

- na to trzeba być starymi herosami, rzucającymi siwe brody łagodnie na wiatr.

Kiedy się wreszcie piach koloru ciemnoblond, kawałki cegieł, szkła

i tej ugornej, przyulicznej niemożliwości jakiejś

- kiedy się dadzą herosom w podartych jesionkach -

- uprosić o zieleń -

- odrośnie w próżni bolesnej święty pomnik wdzięczności -

- wdzięczności dla własnych sił, że oto, mimo wszystko -

- jesteśmy!

